

Rozdział 1.

...powinnam wymyślać jakieś chwytliwe tytuły dla rozdziałów, prawda?

Korytarze ciągnęły się bez końca, wijąc i skręcając w każdym możliwym kierunku, wznosząc i opadając wąskimi schodami, rozszerzając w przestronne sale i zwężając w klaustrofobiczne tunele bez okien. Każde kolejne rozgałęzienie było tak podobne do poprzedniego, wszystkie wyłożone zgnilozielonym linoleum, otoczone trupiobiałymi ścianami, zastawione setkami pustych łóżek i rozpadających się wózków. Labirynt wydawał zapętleć się w nieskończoność, sala za salą, korytarz za korytarzem, schody za schodami, wszystko najeżone pustymi tablicami niewskazującymi żadnej drogi, żadnego wyjścia...

Wzdrygnął się i powoli otworzył oczy. Śnił. To był tylko sen, nieprzyjemny, niepokojący... lecz wciąż sen.

Spotykały go gorsze rzeczy.

Przez chwilę leżał w rozgrzebanym pośłaniu, aż w końcu przetoczył się na brzuch, wyciągnął szyję i zerknął na malutki budzik ustawiony na kartonowym pudle.

Była siódma rano.

Zamruczał niewyraźnie, wywrócił oczami i niechętnie zwałkł się z łóżka. Świeżo podkute kopyta ciążyły przy każdym ruchu – stary nawyk podjęty po wymuszonej przerwie, równocześnie obcy i znajomy. Dziwne uczucie. Zepchnął kołdrę w kąt wersalki, po czym wymknął się na wąski korytarz, krzywiąc na ciężki, dudniący odgłos własnych kroków.

Zimna woda splukała resztki snu. Podniósł mokry pysk znad umywalki i odwzajemnił ponure spojrzenie własnego odbicia. Czarna grzywa domagała się solidnego czesania lub strzyżenia, najlepiej obydwu na raz, a gęste, zimowe futro sterczało ciągle z policzków, uparcie ignorując zmieniającą się z wolna pogodę. Roztopy przyszły wcześniej i trwały krótko, pozostawiając za sobą wilgotne, nijakie tygodnie między srogą zimą a żywą wiosną. „Marzec w Greyburgu”, jak ujął to Jackie, „albo odmraża ci zad, albo przypieka kark... albo wychodzi takie jakieś nie wiadomo co pomiędzy”. Każda kolejna opcja zdawała się gorsza od poprzedniej.

Wytańł pysk ręcznikiem i powłókł się do kuchni.

Miasto powitało go falą porannego ruchu i pierwszymi korkami na głównych ulicach. Kanciasty, żółto-czerwony tramwaj minął pobliski przystanek („Kulmska łamana przez... Piaskowa?”), mruknął bezgłośnie, usiłując odświeżyć osłabioną pamięć o topografii miasta) i wtoczył się na wiadukt, wymijając sznury czekających na skrzyżowaniu aut. Co jakiś czas słyhać było echo klaksonu i pisk opon – z daleka ciężko było stwierdzić, czy ktoś wymusił pierwszeństwo, zasnął przy zmianie świateł czy zanedbano się śpieszył. Rzut okiem w drugą stronę wykazał, że kolejne skrzyżowanie („z... Brom, Bromberg... Bromberdzką, tak”) było w niewiele lepszej sytuacji.

Pegaz wzruszył skrzydłami, dociągnął popręg juków i wyszedł z tunelu prowadzącego na podwórze, brnąc bez większego wysiłku przez strumień pieszych. Większość kuców sama ustępowała wysokiemu, poznaczonemu bliznami ogierowi.

Minął kilka mniejszych sklepów, warsztat zegarmistrza i zakład pogrzebowy, aż w końcu przystanął przed piekarnią. Wspiął się po wąskich, mokrych stopniach i pchnął drzwi.

Minęło dziesięć minut, zanim pegaz wyszedł z budynku, niosąc w jukach bochenek żytniego chleba.

Obsługująca go młoda klacz była... spłoszona. Tak, to słowo chyba najlepiej oddawało jej wymuszony uśmiech, nerwowe gesty, drżący głos... Jednak mimo złe skrywanego strachu, wykazała się zaskakującą cierpliwością i wyrozumiałością wobec obcokrajowca wciąż siłującego się z szorstkimi polyńskimi głoskami. Całkiem nieźle szło jej również z udawaniem, że nie dostrzega smętnego, zbliżnowaciałego kikuta porośniętego resztkami piór – wszystkiego, co pozostało z lewego skrzydła pegaza.

Nie miał jej za złe kilku ukradkowych spojrzeń utrzymujących się o sekundę czy dwie zbyt długo, żeby ich nie zauważył. Ani tego, że wzdrygała się lekko, mimowolnie strosząc własne pióra. Nawet u najgorszych lotników skrzydła były nieodłącznym powodem do dumy, nawet Nielotne Pegazy ceniły swoje lotki ponad własne życie, nawet najubożsi dbali o upierzenie tak starannie, jak tylko pozwalał im niedostatek.

Rozumiał to dobrze i nie chował urazy. Miał zresztą dość czasu, żeby się przyzwyczaić – do spojrzeń, do odwracanych pośpiesznie pysków, do lekkich grymasów i jeżących się piór.

Sam musiał się nauczyć, jak znowu patrzeć w lustro.

Wślizgnął się do przedpokoju i ostrożnie zamknął drzwi. Mieszkanie pozostawało ciche – jeden z pokoiów wciąż czekał na wynajem, natomiast drugi dzieliły dwie klacze, w jego wieku lub nieznacznie młodsze. Nigdy nie pytał, czym dokładnie się zajmowały, w ciągu spędzonego razem miesiąca zauważył jednak, że jedna z nich pracowała głównie na wieczornych zmianach, wracając wczesnym rankiem i twardo śpiąc do godzin popołudniowych. Prosty, przewidywalny rytm, który ułatwiał im unikanie kontaktu.

Druga ze współlokatorek, sądząc z pustego miejsca na wieszaku, zdążyła już wstać, przygotować się i wyjść do pracy. Jej harmonogram był bardziej typowy – wychodziła koło ósmej i wracała po siedemnastej. Wystarczyło wstać nieco wcześniej lub później, przesunąć lekko godziny posiłków, pod wieczór wyjść na mały spacer czy zakupy, albo zgodzić się na wypad do pubu z pewnym znajomym...

Wszedł do kuchni, ostrożnie stawiając kopyta na kaflach podłogi, wcisnął chleb do swojej szafki i jak najciszej wymknął się do własnego pokoju.

Pomieszczenie wyglądało surowo – białe ściany, wytarta podłoga, brak jakichkolwiek ozdób oprócz cienkiej zasłony zwisającej z karnisza nad oknem. Metraż był niewielki, tak jak i całe mieszkanie, a ciasnotę potęgowało wyposażenie złożone z upchniętych koło drzwi biurka i krzesła, niskiej wersalki pod oknem oraz ustawionej naprzeciwko posłania szafy. Błat biurka był pusty, nie licząc sztucznego kwiatu w szklanym wazoniku i ryzy czystych kartek.

Całość sprawiała wrażenie miejsca nie tyle zamieszkania, co pobytu. Najemca mógł w każdej chwili spakować swój skromny dobytek – którego część i tak nie opuszczała

kartonu wepchniętego w kąt przy wersalce – i wyjechać, nie pozostawiając śladu swojej obecności.

Pegaz rozpiął popręg, zrzucił juki i pikowaną derkę na podłogę, a następnie ułożył się na posłaniu, podkurczając długie nogi. Miał czas do wieczora... i niewiele, jeśli cokolwiek, do zrobienia – nie czuł się zmęczony, a zarazem nie chciał powracać do dziwacznych snów, nie miał ochoty słuchać muzyki, w lodówce i szafce znajdował się zapas jedzenia, a wszelkie formalności związane ze zleceniem załatwiono we wcześniejszym terminie. Po chwili wyciągnął kopyto ponad wezglowie i wymacał na oślep pożyczoną od Raven książkę – pierwszy z dwóch tomów starego, zachodnioequestriańskiego wydania „Wydmy”. Między połówkami kartki wciśnięto kawałek pokrytej supełkami wstążki.

Otworzył książkę i zerknął na numer strony, następnie przewertował pobieżnie resztę tekstu i westchnął. Nawet przy surowym, trudnym w lekturze stylu książki skończyłby czytać w niecałą godzinę. Z drugiej strony jednak miałby powód, żeby opuścić mieszkanie, krótko odwiedzić przyjaciół, zabić choć trochę czasu...

Ułożył się wygodniej i zagłębił w lekturze.

Stary tramwaj toczył się powoli przez ulice, nieustannie kołysząc się i trzeszcząc jak statek walczący ze sztormem. Zaparowana szyba zmieniała widoki z zewnątrz w kalejdoskop zamazanych plam – bure mury budynków mieszkalnych, pusty szkielet nowego centrum handlowego, pograżone w cieniu ściany niszczących kamienic, mokra czerń asfaltu, kolejny ciąg szarych budynków...

Na trasie do Starego Miasta mijał trzy przystanki. W godzinach porannych na każdym z nich żywe morze kuców przelewałoby się wewnątrz kanciastego wagonu, wsiadając i wysiadając, zajmując i opuszczając miejsca, przepychając się i wciskając, odzywając się nieprzerwanie szumem polyńskich głosek, szorstkich i zgrzytliwych jak dźwięk fal bijących o skały... Teraz jednak, bliżej południa, tramwaj był niemal pusty i pegaz z łatwością usłyszał zgrzytliwy dźwięk płynący z głośniczków:

– Przystanek... ksz... Rynek. Główny.

Zsunął się z siedzenia i chwycił za drążek przy wyjściu, szykując się na mocne szarpnięcie przy hamowaniu.

Z trudem zszedł po wąskich stopniach i ruszył przez pusty, brukowany plac, omijając od czasu do czasu płytkie kałuże. Kilka nastroszonych gołębi umknęło mu spod kopyt, przebiegając energicznie różowymi łapkami.

Przystanął na samym rogu i zerknął dla pewności na umocowane do ścian białe-czerwone tablice, po czym skręcił w lewo, w Książęcą. Przez kilka minut włókł się między wąskimi frontami poszarzałych kamienic, od czasu do czasu ubarwionymi krzykliwą witryną jakiejś firmy czy sklepu. W którymś momencie ściana budynków po prawej stronie cofnęła się gwałtownie, odsłaniając mały plac, i złączyła z ciemnoczerwonym murem zabytkowych spichlerzy – siedzibą miejskiego muzeum. Miał okazję odwiedzić je pewnej deszczowej soboty, kiedy Raven uznała, że musi wykazać się choćby odrobiną lokalnego patriotyzmu i udowodnić przybyszowi z daleka, że jej mała ojczyzna nie jest historyczno-kulturowym pustkowiem.

Nie było to najgorsze przeżycie, gdyby jednak dano mu w tej kwestii jakikolwiek wybór – uniknąłby go zupełnie. Tak samo jak i miasta Greyburg.

Za późno na żale, pomyślał, odwracając wzrok ku mokremu brukowi uliczki.

Szedł dalej na wprost, aż dotarł niemal na sam koniec uliczki, zlewającej się na zakręcie z bliźniaczo podobnym zaułkiem. Przystanął na wysokości charakterystycznego, niskiego budynku – antykwariatu z mieszkalnym piętrem – wciśniętego między znacznie wyższe kamienice po czym zanurzył się w tunel prowadzący na wspólne podwórze.

Drzwi na tyłach budynku szczęknęły i zaskrzypiały, wpuszczając go do zatęchłego, ciemnego przedsionka. Zakurzona podłoga skrzypnęła głośno, gdy tylko przekroczył próg. Wymacał przełącznik i stuknął weń kopytem – raz, drugi, trzeci... Bez skutku. Odetchnął głęboko przez nozdrza, wymruczał bezgłośnie przekleństwo i rozłożył zdrowe skrzydło, zamiatając lotkami po ziemi, aż wyczuł w ciemnościach pierwszy stopień wąskich, stromych schodów.

Wspinał się powoli i ostrożnie, trzepocząc rozpaczliwie skrzydłem, ilekroć poślizgnął się na gładkim jak lód drewnie. Mieszkające tu jednorożce przekazywały mu sprzeczne informacje na temat piekielnych schodów – Raven twierdziła, że, podobnie zresztą jak cały budynek, stanowiły obiekt zabytkowy pod ścisłą kontrolą odpowiedniego urzędu, który na wszelkie propozycje remontu lub wymiany reagował jak upiór na blask świtu. Jackie z kolei uważał, że zły stan schodów był jedynie przejawem skąpstwa i złośliwej natury właściciela, który „ruszyłby wredną rzyć dopiero po wypadku, najlepiej własnym i ze skutkiem śmiertelnym, żeby tak naprawę naprawiał to ktoś inny”.

Gdy stanął w końcu na piętrze, poczuł głęboką ulgę. Przysiadł na moment w kałuży mętnego światła sączącego się do wnętrza przez brudny świetlik, odsapnął głęboko, po czym zbliżył do drzwi oznaczonych małą, mosiężną cyfrą „2”. Zapukał mocno.

– Już, już... – odpowiedział mu przytłumiony, jakby zaspany głos. Szczęknął zamek i na korytarz wysunął się najpierw chudy, zadarty nos przecięty szeroką blizną, a potem reszta poczochanego, półprzytomnego jednorożca. Jackdaw łypnął na przyjaciela błękitnymi oczami i ziewnął szeroko.

– Aaa... Siemasz, Char... Cholera, która godzina...

– Po dziesiątej – odparł mu znacznie żywszy, wyższy głos. Drzwi otworzyły się szerzej, ukazując słaby półświecie Raven.

– Cześć, Char – rzuciła, delikatnie, lecz stanowczo odciągając brata z przejścia. – Coś się stało czy...

– Chcę tylko oddać książkę. – Pegaz spojrzał na przypiętą do popręgu sakwę. – Przeszkadzam?

– Och... nie, absolutnie nie, wchodź śmiało. Jackie, przeniesiesz się na łóżko?

Zielony jednorożec odpowiedział coś niewyraźnie i powlókł się w głąb mieszkania, podczas gdy jego siostra otworzyła szerzej drzwi i wpuściła Charcoala do krótkiego, ciemnego przedpokoju.

– Wybacz bałagan, Jackie miał małe problemy ze snem i przeniósł się na kanapę z całym, że tak powiem, rynsztunkiem...

– To jest nas dwóch – mruknął cicho pegaz

– Słucham?

– Nic. Nie ma problemu.

Uniosła pysk i spojrzała czujnie na pegaza.

– M-hm. Może coś do picia? – zapytała uprzejmie. – Kawę, herbatę...

– Daj spokój.

– Char, jesteś u mnie gościem.

Wywrócił oczami.

– Nie chcę robić ci...

– Nawet nie zaczynaj...

– ...robić ci kłopotów, wiszę wam dosłownie życie – dokończył, nie zważając na protesty klaczy. – I chciałem tylko przynieść książkę.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– To... może chociaż posiedzisz chwilę? – zapytała w końcu. – Choćby kilka minut... chyba że masz inne plany, w takim razie przepraszam, że tak nalegam...

Po chwili namysłu wzruszył skrzydłami.

– Jeśli to nie problem dla was.

Raven ostrożnie postawiła na stoliczku kubek kawy i szklankę wody.

– Uparłaś się, co? – mruknął Charcoal, usiłując ułożyć się na kanapie. Po chwili wiercenia odwrócił się w końcu, sięgnął pod bok i wyciągnął małego pluszaka – seledynowego króliczka z załatanym bokiem. Uśmiechnął się kątem pyska, delikatnie pogładził sztuczne futerko i odłożył maskotkę na brzeg blatu.

– W Polyn mamy takie powiedzenie, nie wiem, czy już słyszałeś – odparła, usiadłszy na niskim krześle. – Gość w dom...

– Słyszałem. I tak jesteś uparta.

Znów obdarzyła go słabym półuśmiechem.

– Ten jeden raz chyba mi wolno.

Zerknął na nią, znacząco zatrzymując spojrzenie na owiniętym wokół rogu klaczy srebrnym drucie, cienkim jak włos. Drucik przytwierdzony był do wąskiej obrączki u podstawy oraz metalowego kapturka na wierzchołku rogu i dla laika mógł uchodzić za rodzaj ozdoby. Ktoś bardziej spostrzegawczy dostrzegłby jednak kilka cienkich pęknięć na skręconej powierzchni – oraz fakt, że metal jarzył się jak rozgrzany ogniem ilekroć jednorożec korzystał z najmniejszej choćby ilości magii.

– Ten jeden raz – szepnął.

– Więc... Jak się podobała „Wydma”? – zagaiła po chwili milczenia Raven, przesuając kopytem po starannie zaczesanej na bok grzywce.

– Książka? – Wzruszył skrzydłami. – Ciężko powiedzieć. Ładnie napisana, budowa świata robi wrażenie... ale bardzo mało tłumaczy.

Skinęła głową.

– Domyślam się. Sama zaczęłam swoją... nazwijmy to, przygodę z tym cyklem trochę na opak, bo dopiero od drugiej książki, od „Zbawcy Wydmy” po polyńsku, do tego w

nowszym wydaniu z mini-słowniczkiem... – Kolejny półśmiej, tym razem jakby wstydlivy. – Więc kiedy zabierałam się za czytanie pierwszej „Wydmy”, wiedziałam już z grubsza, kto jest kim i co oznaczają te wszystkie dziwne słowa.

Zaśmiała się cichutko.

– W każdym razie domyślałam się, że ktoś całkiem nowy może się poczuć... zagubiony – dokończyła.

– Bardziej przytłoczony – mruknął. – Do tego dużo polityki.

– Bliżej temu do dworskich intryg, niż polityki...

– Na jedno wychodzi. Rozumiem, czemu to klasyk, ale mnie nie wciągnęło.

– Aha. – Sięgnęła po swój kubek. – Chciałbyś pożyczyć drugi tom czy...

– Na razie nie – odparł po krótkim namyśle. – Może kiedyś.

Pokiwała wolno głową i spojrzała w stronę okna. Pomijając wtulonego w szybę gołębia, na zewnątrz panował spokój. Nieliczne kuce przemykały wzdłuż brukowanej uliczki, niczym barwne ptaki przelatujące po szarym niebie.

Pegaz sięgnął po swoją szklankę, czekając, aż przyjaciółka powie coś więcej lub zmieni temat.

– Jesteś gotowy na wieczór? – spytała w końcu.

– Powiedzmy.

– Boisz się?

Odwrócił wzrok, udając nagle zainteresowanie grzbietami książek ustawionych na małym regale obok sofy.

– Aha. Boisz, ale się nie przyznasz. Wiesz, to tylko duch, nic groźnego...

Łypnął na klacz.

– To nie strach – mruknął niechętnie.

– Więc co?

– Przezorność.

– Przezorne kuce nie zostają łowcami.

Parsknął głośno.

– W Polyn – odparł z nutą goryczy – macie takie powiedzenie: mądry Polyńczyk po szkodzie. Nie wiem, czy pamiętasz.

– Coś w tym jest – stwierdziła. Na pysku błdził jej wąty cień uśmiechu, ale jasne oczy pozostawały smutne. – Damy sobie radę, tak? Nawiedzone miejsca nie są trudnymi zleceniami.

– To samo mówiłaś przy tamtej piwnicy.

Zmarszczyła nos.

– Piwnica nie była nawiedzona – odcięła się.

– O czym dowiedzieliśmy się, gdy na pysk wyleciał ci... jaki to był nietoperz? Gacek? Nocek?

– Borowiec, Char. Borowiec wielki. Na moim miejscu też byś... też byś się wystraszył i popędził na szczepienie, tak? Wścieklizna jest przecież śmiertelna i w dalszych stadiach nieuleczalna...

Zaśmiał się krótko, gardłowo.

– Akurat myślałaś wtedy o wściekłości.

Fuknęła gniewnie i zadarła nos.

– Wracając do tematu – długi pysk ogiera znów przybrał charakterystyczny, obojętny wyraz – formalności załatwione?

– Jeśli ty o czymś nie zapomniałaś – spojrzała na niego z odrobiną niechęci – to owszem, załatwione. Umowa sporządzona, wszystkie służby i urzędy powiadomione, papiery podpisane. Zarówno Jackie, jak i pan Rune będą czuwać na wypadek, gdyby coś jednak poszło nie tak.

Skinął głową.

– Kupiłam jeszcze soli wiążącej, bo akurat kończył się zapas i wyliczyłam ci nieco niższą dawkę Nowiu – mówiła dalej. – Bo zlecenie jest prostsze, niż zazwyczaj, bo...

Przycichła nagle i przygryzła wargę, jakby nie mogła znaleźć właściwych słów. Szary pegaz spojrzał na nią czujnie.

– Bo wracasz... po dłuższej przerwie – dokończyła w końcu. – Żeby cię nie zważyło z nóg, jak tylko weźmiesz.

Odwrocił wzrok, kątem oka dostrzegając pustkę w miejscu lewego skrzydła.

– Nic mi nie będzie – odmruknął, samemu czując lekki ucisk w gardle.

Gdy wyszedł z kamienicy, owionął go rzędzący kłęb sinego dymu i duszący, gorzki zapach palonego tytoniu. Zwęził nozdrza, skrzywił się z niesmakiem i łypnął z ukosa na wspartego o ścianę podstarzałego jednorożca z grzywą splecioną w długi, gęsto przetykany siwizną warkocz.

Silver Rune – „pan Rune”, jak z nieodzowną nutą szacunku mówiła o nim Raven – odpowiedział mu spokojnym, bez mała niewinnym spojrzeniem znad przyciemnianych okularów i znów zaciągnął się papierosem. Pegaz potrząsnął krótko głową, usiłując odpędzić odrażającą woń i ruszył energicznym krokiem przez brukowane podwórze. Stukot podków odbijał się echem pomiędzy ścianami wyższych kamienic.

– Powodzenia, łowco – odezwał się nagle niski, ochrypły głos za jego plecami.

Charcoal zatrzymał się i obejrzał podejrzliwie. Czy słuch płatał mu figle, czy w głosie starego antykwariusza zabrzmiała nuta drwiny...?

Jednorożec podniósł się ze stęknięciem, strzepnął poły wymiętej kamizelki i zgasił niedopałek w ustawionym obok framugi słoiku z wodą.

– Powodzenia – powtórzył, nie patrząc na rozmówcę. – Przyda ci się.

Po tych słowach zniknął nagle w przedsionku jednym zwinnym skokiem. Jego biała sylwetka mignęła jeszcze w ciemności niczym błądy duch, bezgłośnie stąpając po podłodze przedsionka, zanim drzwi do kamienicy zatrzasnęły się gwałtownie.

Szary ogier wzdrygnął się lekko i pospiesznie opuścił podwórze.

Przystanął na chwilę w przejściu, przypatrując się Bramie Wodnej. Po drugiej stronie ceglanego łuku jaśniał mały skwer, tuż obok którego snuła się ścieżka wzdłuż brzegu Vistuli. W ciepłe, pogodne dni napotkałby tam matki ze źrebiętami, zakochaną parkę czy plotkujące emerytki – jednak w tym momencie chodnik prawdopodobnie świecił pustkami. Mógł z

łatwością przespacerować się mały kawałek, przejść pod mostem, skręcić w Piaskową, a z niej prosto w Kulmską, wychodząc bez mała tuż obok swojego mieszkania...

...może przedłużyć nieco trasę – Kalinowa, z Kalinowej w Bromberdzką, a z Bromberdzkiej w Kulmską na wysokości tamtej świątyni... solarnej? Chyba solarnej, o ile dobrze pamiętał Polynńczycy czcili głównie Białą Panią... W każdym razie w Kulmską, potem jeszcze kilka przejść, wzdłuż osiedla Nicked Coppera i byłby na miejscu.

Po krótkim namyśle uznał, że nie brzmiało to najgorzej i ruszył znowu zwawym tempem, pozwalając, by rytm ruchu wygnał z głowy natrętne myśli.

Gdy wrócił do swojego mieszkania, było już po pierwszej. Wraz z towarzyszką ustalili zbiórkę około dwudziestej, na tyle późno, by aktywne nocą stworzenia zaczęły opuszczać kryjówki i na tyle wcześnie, by wciąż poruszały się dość niemrawie. Chociaż świadkowie mówili raczej o duchu czy zjawie kręcącej się w pobliżu Góry Zamkowej, a teren był zbyt otwarty dla większości potworów, nauczeni doświadczeniem łowcy woleli nie wykluczać nawet mało prawdopodobnych zjawisk. Jak stwierdził kiedyś Jackie: „skoro zwykłe dziki mogą cię gonić po blokowiskach, to czemu nie miałyby tego zrobić wodnik czy inny strzygoń?”.

Druga współlokatorka zdążyła już wstać i całkiem się ożywić, o czym przekonał się na własnej skórze, gdy o mały włos nie zderzył się z klaczą obok łazienki.

– O, Celestio!... H-hej, eee, Charcoal – wykrztusiła spłoszona, prawie upuszczając trzymaną w kopytach kosmetyczkę. – T-troszkę mnie nastraszyłeś...

Zaśmiała się nerwowo. Pegaz rozluźnił napięte mięśnie i odetchnął głębiej, usiłując uspokoić bijące serce.

– Uff, przepraszam... Masz dzisiaj, ten, no, wyjście, tak? – zapytała.

Skinął głową.

– Wieczorem – powiedział głucho. – Nocuję... poza mieszkaniem, wracam jutro po południu. Mała prośba, żadnych imprez.

Klacz przytaknęła energicznie.

– No, okej. Nie ma problemu, naprawdę. A pojutrze... znaczy, bo umówiłam się z koleżanką i miała do mnie wpaść pojutrze właśnie...

Przymknął oczy.

– Nie hałasujecie zbyt mocno.

Współlokatorka, której imienia nigdy nie mógł zapamiętać, rozpromieniła się.

– O, dzięki wielkie, naprawdę, dzięki serdeczne! I, eee, powodzenia, no, w pracy, trzymaj się tam!

Po tych słowach pośpiesznie umknęła do swojego pokoju. Charcoal westchnął, pokręcił głową i powlókł się w przeciwnym kierunku.

„Łowcy przyjaźnią się głównie z łowcami” – usłyszał jeszcze w Caballolid, tuż po wywalczeniu licencji. Nie przepracował nawet roku w zawodzie, zanim pojął w pełni znaczenie tych słów.

Ostrożnie zamknął drzwi do pokoju, rzucił juki w kąt i znów wyciągnął się na posłaniu. Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się otępiałym wzrokiem w pustkę, w

końcu jednak przetoczył się na brzuch, podciągnął bliżej wezglowia i sięgnął po parę słuchawek podpiętych do małego odtwarzacza płyt. Gdy wytarta gąbka muszli ułożyła się dobrze na uszach, wyciągnął leniwie kopyto i wcisnął guziczek z boku urządzenia.

Po chwili ze słuchawek popłynął dźwięk. Najpierw pojedyncze akordy dzielone cichym szumem, potem bardziej złożony riff drugiej gitary... aż ryknął bas, trzasnęła perkusja, melodia zmieniła się w głęboki pomruk punktowany okazjonalnym wysokim akordem, coraz szybszy i szybszy...

Nagle gitary wyciszyły się w długim, drżącym jęku, zostawiając na moment sam rytm, mroczny marsz, i znów dołączyły rozedrganym, chaotycznym tonem, milknąc tylko przed ochrypłym krzykiem:

Hear me now!

Muzyka ruszyła jak czarna lawina, szybka, ciężka, agresywna, rozjaśniana tylko drżącą, wysoką nutą na końcu kolejnych riffów, by złączyć się po chwili z wokalem – bliższemu przeciągniętemu, chrypliwemu okrzykowi, niż melodyjnemu śpiewowi:

*Bearing down upon the path we choose
Chosen from the start, living different rules
Existence, something to cherish true
Will not succumb to doubts that I hold unto...*

Uśmiechnął się na wpół ironicznie, na wpół z sentymentem. Znał tę piosenkę na pamięć – co do nuty, co do słowa, echo jej rytmu było wręcz wypalone w jego umyśle. Słuchał jej namiętnie lata temu, raz za razem, do obrzydzenia; mruczał jej zwrotki jak wzmacniającą umysł mantrę. Była dla niego mapą, drogą życia, wyznaniem wiary, deklaracją buntu wobec okrutnego, zepsutego świata...

Słuchał jej lata temu, pół świata dalej, gdy był zupełnie innym kucem. Prawie tęsknił za tym okresem w swoim życiu, głupim, naiwnym, ale wciąż zdolnym do nadziei na przyszłość i wiary – w siebie i w innych.

*Release the fear of my pain
In so much pain
Give me the will to fight
Every obstacle that I have inside
Release the fear and...
Hear me now
Words I vow
No fucking regrets...¹*

Muzyka z wolna rozplynęła się w przyjemnie głośne tło, zagłuszające przyczajony w głębi umysłu niepokój.

¹ Machine Head - "Imperium"; https://www.youtube.com/watch?v=kd9CFpzP_Ck

Niebo pociemniało do końca i nabrało dziwnego, szarobrzązowego koloru. Gwiazdy runęły z wysokości i zapęłniły ziemię setkami oślepiających rozbłysków – sunących po szarych łukach wysoko nad falami rzeki, krążących po czarnych ścieżkach i pełgających w otworach wielkich schronień. Zmrużyła oczy i na powrót schowała się w ciemnym wnętrzu swojej kryjówki.

Gruby, chłodny mur osłaniał ją od światła, ale nie od dźwięku – od głośnego, wszechobecnego szumu, jakby siedziała nad brzegiem potężnego oceanu. Od czasu do czasu przebijał się przezeń inny odgłos, kaleczący jej uszy ryk, metaliczny brzęk, cienkie piski. Wszystko to było tak odmienne, niezrozumiałe i nieprzyjemne, drażniło jej czule zmysły.

Najgorszy był jednak głód. Głód wypełniający trzewia bólem. Głód osłabiający ciało i otepiający umysł. Głód, który ledwo mogła zaspokoić w tym osobliwym miejscu.

Uniosła się niemrawo i przeczołgała pod przeciwną ścianę schronienia. Z jej ostatniej ofiary – niewielkiego, wychudłego mięsożercy, który w poszukiwaniu własnego posiłku nieopatrznie zbliżył się na odległość jej skoku – pozostały zaledwie strzępy futra i odłamki rozgryzionych kości. I odciągnięte na bok wnętrzności, żołądek i jelita cuchnące gorzej od gnijącej padliny w ciepły dzień.

Zmarszczyła nos z odrazą, po czym chwyciła w zęby kawałek maleńkiej kości, miażdżąc ją z łatwością jednym kłapinięciem szczęki. Potem kolejny. Jeszcze jeden, wszystkie już dawno oczyszczone z mięsa i szpiku. Na koniec skóra. Obrzydliwych wnętrzności nie ruszyłaby, choćby miała umrzeć z głodu.

Oblizwała pysk i ułożyła się z powrotem przy wejściu, wpatrując tępo w szarą, rozmokłą ziemię najeżoną bezlistnymi pniami drzew. Nie mogła tu pozostać. Prędzej czy później musiała wyjść, zapolować, znaleźć nowe kryjówki...

Znaleźć drogę powrotną... jeśli takowa istniała.

Wyciągnęła nieco szyję i uniosła wzrok, wyglądając poza wyłom w murze. „Dziwny, dziwny widok” – pomyślała – „tylko jeden księżyc na nocnym niebie”.

Raven czekała obok wejścia do antykwariatu, nerwowo postukując kopytami o mokry chodnik. Na grzbiet miała już zarzuconą wodoodporną derkę i niewielkie juki, do popręgu przypasała szablę. Spostrzegłszy charakterystyczną, przygarbioną sylwetkę pegaza w głębi uliczki, otrząsnęła pęciny i wyszła mu na spotkanie.

Powitali się milczącym skinieniem głów i ruszyli w przeciwnym kierunku, najpierw przez pusty plac rynku, potem przez wąskie uliczki wokół krępego budynku kolegiaty solarnej. Przez chwilę mogli dostrzec gdzieś w dole ciemną, szeroką wstęgę Vistuli, niespiesznie meandrującej przez kulmskie pojezierze – i znów wkroczyli w wąską, brukowany korytarz, pnący się wzwyż ku Górze Zamkowej.

Całe życie odeszło z zalanych mdłym światłem zaułków, kryjąc się przeważnie w ciepłych, bezpiecznych wnętrzach domów. Dwójce łowców towarzyszył głównie odgłos własnych kroków, szum wody spływającej do odpływu, czasami plusk kałuży – i cichy szepot ulic, ledwie odróżnialny od silniejszego powiewu wiatru. Czasami tylko słyszeli odległe, stłumione dźwięki, śmiech, krzyk, muzykę, zgrzyt radia czy telewizora, szczekanie psa... Niczym echa z innego świata.

Droga nie była długa ani żmudna, nawet dla podkutego ogiera stąpającego ostrożnie po mokrych, wyslizganych kamieniach. Stare, zaniedbane budynki szybko ustąpiły skrawkowi parku. Bezlistne drzewa sterczały smętnie pośród szarego błota i zmarniałej trawy, zasłaniając nędzne resztki greyburdzkiego zamku – odkryte podczas ubiegłorocznych wykopalisk fundamenty, nieliczne pasma ceglanych ścian, cembrowinę studni i na wpół zrujnowaną wieżę nazywaną Klimkiem. Ciemny kikut sterczał na najwyższym punkcie wzgórza, swoim kształtem przywodząc na myśl ogromne drzewo rozszczepione piorunem.

Zatrzymali się obok pustej niecki dawno nieużywanej fontanny i spojrzeli na wznoszące ponad nimi ruiny.

– Biały duch – mruknęła Raven, wyciągając z juków małe pudełko i opleciony cienkim drutem kryształ. – Jeśli faktycznie tu krąży... Ciekawe, kim był?

– Znając to zadupie, zamarzniętym pijakiem – odparł zgryźliwie Charcoal, grzebiąc w torbie na drugim boku klaczy.

– Nie, na pewno nie. – Zgniotła kryształ szybkim, zdecydowanym ruchem, uwalniając odrobinę delikatnego, żółtawego światła. – Duchy potrzebują silnej magii... i jeszcze silniejszych emocji. Gwałtownej śmierci. Przemocy. Bólu.

Pociągnęła nosem.

– Nie boisz się? – spytała nagle, patrząc na przyjaciela.

– Duchów? – Pokręcił głową. – To nie trupy. Ani potwory.

Przez chwilę patrzyła na niego uważnie, po czym przytaknęła bez entuzjazmu i otworzyła pudełko, po czym sprawnymi, wyćwiczonymi niemal do perfekcji ruchami przygotowała pierwszą dawkę narkotyku.

– Daj szyję – mruknęła bezbarwnym tonem. Pegaz przymknął oczy i posłusznie odgarnął grzywę.

Życie łowców od wieków toczyło się po zachodzie słońca. Pełnia zalewająca świat srebrnym blaskiem, miękka ciemność nowiu i dwie kwadry między nimi – noc ukazywała wszystkie swoje twarze tym, którzy znali ją wystarczająco długo. Była niczym przyjazny wróg, klacz fatalna, piękna śmierć, zawsze u boku samotnych wojowników, gotowa zadać z ukrycia zabójczy cios.

Być może dlatego łowcy nazwali zażywane przed każdym zleceniem narkotyczne mieszanki według faz księżyca – jakby chcieli oswoić tę nieodłączną, morderczą towarzyszkę. Tak więc Pełnia rozszerzała źrenice i rozświeślała najczarniejszą noc, Kwadra działała słabiej, ale mogła być zażywana w kilku kolejnych dawkach, Nów zaś...

Blask księżyca nie był potrzebny w świecie sztucznych świateł. Wystarczała siła, refleks i wytrzymałość, by przetrwać najczarniejsze godziny.

Wiatr zmienił kierunek, niosąc nowe zapachy, równocześnie obce i znajome. Zamarła na moment, po czym wskoczyła za pobliski krzak i przylgnęła do ziemi, rozglądając się nerwowo. Woń była jeszcze słaba, nie dostrzegała też kształtu ani ruchu między drzewami. Roślinożerne musiały kręcić się gdzieś u stóp wzniesienia od strony rzeki, poszukując wygodnej ścieżki w górę.

Wtem zamrugnęła i nadstawiła uszy, jednak nie usłyszała niczego. Żadnego dźwięku, trzasku gałązki, pisku... Zwykle hałaśliwi trawożercy poruszali się w całkowitym milczeniu.

Zesztywniała na moment. Nagle poczuła strach pomieszany z gniewem, instynkt walki lub ucieczki... Z trudem stłumiła emocje, zmieniając je w słabe echo dźwięczące na obrzeżach świadomości. Nie. Nie teraz. Nie czas, nie miejsce. Nie powinna bezmyślnie stawiać do walki, nie w tym stanie...

Jednak zraniona duma domagała się krwi. Ofiara powinna uciekać przed nią, nie zmuszać ją do ukrycia i szukać jej kryjówek. Ofiara powinna się bać, być szybka, lecz słaba, ofiara nie powinna mieć szans z jej szczękami i pazurami, ofiara powinna paść przed nią bez życia...

Ofiara nie powinna zachowywać się jak drapieżnik. Ofiara nie miała prawa być lepszym drapieżnikiem. Ofiara była pod nią.

Zacisnęła zęby, syknęła bezgłośnie, odwróciła się i zaczęła czołgać w kierunku kryjówki, niemal szorując brzuchem po mokrej ziemi. Gdyby nie zimno, wytarzałyby się w brudzie, byle zakryć białą sierść i łatwiej wtopić się w ciemne otoczenie, uniknąć ofiary i ułatwić sobie polowanie.

Wślizgnęła się do zrujnowanego okręgu i przylgnęła do ściany, cały czas węsząc i nasłuchując zbliżającego się nieubłagane zagrożenia.

Wkręcone w podkowy hacze pomagały pegazowi w ostrożnej wspinaczce po warstwie błota. Ostatnie płyty brudnego śniegu zalegały jeszcze pod drzewami i w cieniu ruin, powoli jednak kurcząc się i topniejąc w szare strumyki rozmywające zbocze wzniesienia w śliską, umykającą spod kopyt breję. Jeden niewłaściwy krok mógł skończyć się bolesnym upadkiem, wystawiając tym samym na niebezpieczeństwo.

Stał w końcu na szczycie góry i rozejrzał się czujnie, strzygąc uszami, nie dostrzegł jednak ani nie usłyszał niczego podejrzanego. Nic nie przemykało pośród pni, nie kryło w bezlistnych gałęziach, nie czało między sterczącymi z ziemi ułamkami murów...

Jego uwagę przykuł w końcu Klimek. Południowe i wschodnie fragmenty wieży zachowały się w zaskakująco dobrym stanie, tworząc wysoką, gładką ścianę pozbawioną okien. W odległym, mdłym świetle latarni z trudem można było dostrzec masywne, żelazne wrota obramowane grubym łukiem portalu, zdecydowanie młodsze od reszty konstrukcji.

Gwizdnął cicho, przywołując Raven. Klacz przytruchtała po chwili z drugiej strony wzgórza, ślizgając się lekko. Ogier wskazał pyskiem na wieżę.

– Ściana – szepnął, nachyliwszy się ku towarzysze. – Po drugiej stronie. Ile z niej zostało?

Jednorożec zawahał się na moment, po czym odpowiedział również szeptem:

– Pamiętam... duży wyłom od rzeki, północny zachód.

Skinął głową. Trącił klacz koniuszkiem skrzydła i zatoczył nim szeroki łuk w kierunku północnego wschodu, sam natomiast skierował się ku zachodowi. Rozeszli się, okrążając powoli wieżę.

Im bliżej znajdował się wyłomu w ścianie wieży, tym większy czuł lęk i zdenerwowanie. Chwilami nawiedzało go dziwaczne wrażenie, jakby czarne rozdarcie w

cegłach miało zmienić się w paszczę gigantycznego monstrum – potrząsał wtedy głową, usiłując przepędzić irracjonalne myśli i skupić na zagrożeniu, które mogło faktycznie kryć się w ruinach. Jednak szeroki wachlarz monstrów i magicznych istot, które wybierały na kryjówkę lekko wilgotną ciemność zdecydowanie nie poprawiał mu nastroju. Od nimf i driad po mary i wiły, nie mówiąc już o całej litanii upiórów czy egzotycznych, lecz wciąż spotykanych w Polyn istotach, jak zwiastująca śmierć banshee lub polująca na ciężarne klacze lamasztu – wszystkie na swój sposób śmiertelnie groźne i trudne w zwalczaniu. Nagle perspektywa spotkania z choćby najbardziej agresywnym duchem wydawała się całkiem przyjemna...

Coś zaszeleściło wewnątrz ruin. Odskoczył i naprężył mięśnie, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w ciemność, gotów walczyć lub uciekać... jednak z wieży nie wyłoniło się żadne zagrożenie. Nie zabłyśły lśniące oczy, nie zabrzmiał żaden pomruk, szpony nie zazgrzytały o stare cegły. Cisza. Bezruch. Zwodniczy spokój.

Odczekał jeszcze kilka pełnych napięcia sekund, po czym odetchnął głęboko i rozluźnił się nieco, wciąż zachowując czujność. Powoli zbliżył się do przerwy w murze, cały czas nasłuchując i wytyżając wzrok, jakby licząc na to, że zdoła wypatrzyć jakikolwiek ruch w ciemnościach...

Coś białego wyskoczyło z wnętrza wieży i rzuciło się wprost na łowcę, zwalając go z nóg. Zobaczył parę wielkich, jasnych oczu...

...i świat nagle zgasł.

Ciemność. Miękka, otępiająca ciemność, niczym bezkresny ocean kołyszący bezwładnym ciałem, wciągający je coraz głębiej i głębiej w zimne głębiny nieświadomości.

Głos... z początku odległy i niewyraźny, jak daleki szum fal. Z każdą chwilą coraz głośniejszy, morze dźwięków uderzające w skalisty brzeg i rozpadające się na poszczególne sylaby, sylaby formujące słowa niczym szybujące po niebie mewy, słowa unoszące się w stada-zwroty, wybrzmiewające znajomym głosem.

Raven. Słyszał jej głos. Słyszał jej słowa. Nie rozumiał... Wszystko tonęło w zimnej ciemności.

Szmer, jakby magii. Rozciągnięte powieki, bolesny błysk prosto w oczy. Światło. Coraz jaśniejsze i wyraźniejsze, jakby płynął przez morskie odmęty, coraz bliżej powierzchni, coraz bliżej wiatru, słońca, skalistych klifów, coraz bliżej krzyczących mew...

Zamrugął gwałtownie. Błysk zgasł, pod powieką zatańczyły barwne powidoki. Głos Raven stał się wyraźniejszy, mógł już rozróżnić poszczególne słowa – ...widocznych ran na zewnętrznych powłokach, odruch żreniczny w normie... myśl, Raven, myśl, przypomnij sobie... oddech równy, tętno w normie, pacjent wydaje się odzyskiwać przytomność...

Rozchylił lekko powieki. Pochylona nad nim plama zaczęła zlewać się w jedno, nabierając nieco zamazanych kształtów. Widział już... nie tyle barwy, co odcienie, jaśniejszy i ciemniejszy. Jak grzywa Raven. Jak głowa Raven.

Skrzywił się... poczuł ruch mięśni i skóry, poczuł własny pysk i mimikę. Poczul nagle własne ciało. Zimno wzdłuż prawej jego połowy, tępy ból pulsujący w boku i skrzydle, ołowiany ciężar w kopytach.

Wziął głębszy oddech i otworzył szerzej oczy, usiłując obrócić głowę w stronę klaczy...

Usłyszał nagle ciche sapnięcie i poczuł ostrożny, ale stanowczy ucisk na szyi. Ktoś przytrzymał go, nie pozwalając na dalszy ruch. Lekko drżący głos Raven zapytał głośno:

– Jak masz na imię?

Char. Charcoal. Charcoal Estrella Alquitránéz... Gale.

– Twoja data urodzenia?

Dziewiąty stycznia, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty rok wyzwolenia Pani Nocy.

– Jak ja mam na imię?

Raven. Raven Feather.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– Mmm... Pieprzona Góra Zamkowa – wymamrotał – w pieprzonym Greyburgu. Pieprzony Kulm. Pieprzone Polyn. Po trzykroć pieprzona Equestria.

– Ile widzisz kopyt?

Zamrugął, usiłując skupić wzrok na wciąż lekko zamazanym kształcie.

– Mmm, jedno? – zaryzykował.

Klacz cofnęła kończynę, wzięła głęboki, świszczący wdech i uniosła głowę, wydając z siebie cichy odgłos – coś pomiędzy śmiechem a łkaniem. Z trudem podźwignął się, przetoczył na brzuch i bez słowa otoczył przyjaciółkę zdrowym skrzydłem.

Droga powrotna rozmyła się w mętną smugę żółtych światła i gęstych cieni, pokrywających na przemian mokłą powierzchnię bruku. Tyle był w stanie dostrzec, wlokąc się ze zwieszoną głową przez wąskie, martwe uliczki. Coraz mocniej doskwierało mu zimno, stawy sztywniały z każdym krokiem, kopyta przypominały bryły ołowiu przytwierdzone do nóg. Zmęczenie plątało i tak chaotyczne myśli, pozostawiając tylko jedno wyraźne pragnienie: odpoczynku w ciepłym łóżku.

Snująca się obok Raven była w niewiele lepszej kondycji, co jakiś czas potykając się i zataczając na rozchwianych nogach. Niezręczne milczenie między dwójkiem łowców przerywały jedynie pojedyncze sapnięcia i westchnienia. Zdawało się, że minęła wieczność, zanim dotarli do przejścia na wewnętrzny plac kamienic.

Pegaz wkroczył do pogrążonego w mroku przedsionka chwiejnym krokiem, wspierając się o bok Raven. Klacz wyciągnęła z torby drugi kryształ.

– Dasz radę sam wejść...? – zapytała, uwalniając kulę magii.

Spojrzał na strome, wąskie schody oświetlone drżącym, migotliwym światłem i skinął głową. Przyjaciółka spojrzała na niego troskliwie.

– Nie musisz, tak? – powiedziała cicho. – Zawsze... zawsze mogę pójść na górę i poprosić...

Prychnął przez nozdrza i postawił kopyto na pierwszym schodku. Jednorożec pokręcił głową i zaczekał, aż pegaz pokona kilka kolejnych stopni, następnie podniósł pęknięty kryształ i ruszył za przyjacielem. Światelko unosiło się przed nimi jak boja na rozkołysanym morzu.

Wspinaczka była żmudna i ciężka, nawet bez klockowatych haceli w podkowach i przy chybliwym blasku magii. Raven od czasu do czasu próbowała wesprzeć go swoją magią na bardziej krzywych czy wyslizganych stopniach – wiedział jednak, że w razie upadku nie zdołałaby utrzymać jego ciężaru i runąłby wprost na klacz, spychając ją w dół schodów. Pięli się więc w górę powoli, ostrożnie, ze schodka na schodek coraz bardziej znużeni, aż w końcu zdołali wejść na piętro. Osunęli się na zakurzoną podłogę, dysząc ciężko.

Drzwi po lewej uchyliły się nieco szerzej. Na moment w szczelinie zabłyśła jasna sylwetka, po czym zaszumiały zawiasy i szczęknął klucz przekręcany w zamku.

Drugie wejście otworzyło się na oścież, wpuszczając ich do jasno oświetlonego przedpokoju o podłodze wyścielonej warstwą ochronnej folii. Jackdaw pomógł siostrze zdjąć juki i zdusił magiczne światelko.

– Żyjecie tam? – zagaił, z miernym skutkiem siląc się na żartobliwy ton.

Pegaz łypnął na niego przekrwionym okiem, usiłując utrzymać się na drżących nogach. Drugi jednorożec pociągnął tylko nosem i przysiadł pod ścianą, kuląc się.

– Aż tak źle...? A, mniejsza. – Machnął kopytem. – Łóżka gotowe. Odsapnijcie, będziemy się martwić rano. Char, trafisz sam, czy...

Charcoal bez słowa powlókł się ku drzwiom w głębi korytarza. Raven siedziała dalej, zwiesiwszy głowę. Zmęczony uśmiezek zielonego ogiera skurczył się i zniknął, ustępując miejsca wyrazowi troski.

– Ej – delikatnie trącił klacz w bok – nie zasypiaj mi tu. Łóżko jest tam, chodź. No już, ogon w górę, idziemy...

Spojrzała nań mętным wzrokiem i skinęła kopytem. Gdy ogier nachylił się nieco, podźwignęła pysk i wyszeptwała coś do jego ucha. Odsunął się powoli.

– Serio, idź spać. – Ostatnie ślady zwyczajowego dowcipu zniknęły z jego głosu. – Bo zaczynasz pierdolić od rzeczy.

Skrzywiła się.

– Nie pierdolę, Jackie. To naprawdę...

– ...głupie – wszedł jej w słowo. – Gdybym ja coś takiego odwał, to byś mnie z miejsca za drzwi chyba wykopała. Serio ci potrzeba snu, takiego długiego, solidnego, w miękkim łóżku...

– Wyśpię się jutro. Pojutrze. Kiedyś. Teraz nie mogę, więc zrób mi przysługę i...

Tupnął kopytem.

– Nów ci na mózg wlaż czy jak? Idź spać, już! Mam cię siłą zaciągnąć?

Podniosła się powoli, wspierając bokiem o ścianę.

– Spróbuj – wymamrotała, usiłując chwiejnym krokiem ominąć brata. – Weź tylko spróbuj...

Rozległ się ostry świst, zielony jednorożec zniknął w błysku światła i pojawił się przed wejściem do kuchni, jakby chciał zagrozić jej swoją drobną sylwetką. Powietrze zapachniało ozonem.

– No spróbuję – pisnął. – Jeśli ty nie myślisz, to ja zrobię to za ciebie!

Zanim klacz zdołała odpowiedzieć, drzwi sypialni uchyliły się i Charcoal wystawił szyję na korytarz, łypiąc na rodzeństwo z mieszaniną znużenia i niepokoju.

– Co wy tam odwalacie? – wymamrotał.

– Ona chce kawy – zaskrzeczał Jackdaw, wyciągając głowę. – Serio. I nie pozwala sobie wyper... wypersw... no, wybić tego z głowy.

Pegaz wyszedł z pokoju i powoli ruszył w stronę Raven. Zatrzymał się tuż obok i wyprostował, znacznie górując nad niekryjącą irytacji klaczą. Odetchnął głęboko i powiedział cichym, głębokim głosem:

– Idź spać. Nic mi nie jest.

Sapnęła gniewnie i potrząsnęła głową.

– Raven, proszę.

– Ale muszę...

– Nic nie musisz. – Pegaz podniósł lekko głos.

– Tyle że muszę – wybuchnęła nagle, spoglądając wprost na przyjaciela. W jej przekrwionych oczach załśniły łzy. – Mam pieprzony obowiązek, żeby choć raz czegoś dopilnować, żeby choć raz być, żeby uważać, żeby... żeby chociaż spróbować spłacić najmniejszy ułamek mojego...

– Nie – przerwał jej w pół słowa. – Nie będziesz niszczyć własnego zdrowia przeze mnie.

– Po tym, jak sama zniszczyłam twoje?

Błysk. Suchy trzask. Zapach magii. Jedno kopyto przyciśnięte do pyska klaczy, drugie oparte o uniesione skrzydło pegaza.

– A może obydwoje pójdziecie spać – fuknął Jackdaw – i tą nocną wartę weźmie ktoś... ja wiem, ktoś, kto nie brał Nowiu? Kto przeżyje tę nockę bez snu?

Charcoal zamrugał i powoli złożył skrzydło. Raven wzdrygnęła się. Zielony jednorożec cofnął kończyny i łypnął to na jedno, to na drugie.

– Już, jazda do łóżek. – Klepnął ich po grzbietach. – Przyciągnę sobie jakiś materac czy coś i też pójdę się położyć.

– We trójkę będzie duszno – mruknął po chwili pegaz.

– To otworzy się okno i wywietrzy chwilę. Nie będę spał, więc żaden problem, dopilnuję. A teraz wszystkie grzeczne źrebaki idą spać...

Klacz odwróciła pysk, a szary ogier wywrócił oczami, jednak obydwoje posłuchali jednorożca bez słowa sprzeciwu.

Pod cienką warstwą rozmokłego błota znajdowała się gdzieniegdzie skuta mrozem ziemia, a cienkie drzewa były zadziwiająco wytrzymałe. Przekonała się o tym na własnej skórze, gdy podczas szaleńczego biegu potknęła się o coś – korzeń, złamaną gałąź, sterczący z ziemi kamień – i stoczyła bezwładnie w dół wzniesienia, zatrzymując się dopiero na twardym pniu.

Potem... potem podniosła się i biegła dalej, na oślep, szukając tylko cienia i osłony, aż trafiła na kolejną dziwną ruinę skrytą wśród drzew. Płyty z jasnego kamienia sterczały z ziemi w równych rzędach, otaczając niską kolumnę z tego samego materiału. Gdzieniegdzie

połykiwały niewielkie światełka, odbijając się w ciemnych płytach pokrytych niezrozumiałymi rytami. Całość ogradzała płatanina cienkich metalowych nici przymocowana do cienkich słupów – jeśli jednak miało to chronić dziwne miejsce przed intruzami, nie spełniało swojej roli zbyt dobrze. Była niemal pewna, że wszystkie te smukłe kopytne, na które polowała w starym świecie byłyby w stanie, tak jak ona, przeskoczyć ogrodzenie jednym wysokim susem. Widać tutejsi roślinożercy nie byli zbyt zwinni...

Zadrżała ze strachu, przypominając sobie ruiny na wzgórzu. Czy tamten wielki, ciemny kopytny nie miał skrzydeł i piór, jak gigantyczny ptak? Może potrafiłby wzbicić się w powietrze mimo swej ciężkiej sylwetki? Skuliła się, jakby chciała stopić się w jedno z białą kolumną. Byłaby tak łatwym celem dla wroga szybującego po niebie, a co dopiero dla takiej bestii. Roślinożerny wydawał się dwukrotnie większy od swoich pobratymców, ba, większy nawet od najpotężniejszych samców jej własnej rasy! Jednym ciosem kopyta mógłby strzaskać jej czaszkę jak skorupkę jajka...

A jednak runął jak wyrwane z korzeniami drzewo i zgasł jak zduszona łapa iskra. Sama była zdumiona tym, jak łatwo zdołała wtargnąć do obcego umysłu, a co dopiero zgasić jego świadomość... Wtedy nie miała jednak ani chwili na przemyślenia, obecnie zaś była zbyt zmęczona, zbolala i przerażona, by przykładać większą uwagę do mechanizmów obcej jaźni. Leżała na małej stercie mokrych, zbutwiałych liści u stóp kolumny, dysząc ciężko i krzywiąc lekko, ilekroć grzbiet i bok rozbrzmiewały echem bólu, a wszystkie pozostałe w ciele siły skupiła na nasłuchiowaniu odgłosów pogoni wśród długiej, ciemnej nocy. Jeśli kopytne zdołałyby znaleźć jej nowe schronienie, nie byłaby w stanie walczyć.

Upokarzająca śmierć, nawet dla kogoś równie słabego, co ona.

Biel. Czysta, chłodna biel, gdzieniegdzie podbarwiona błękitnym cieniem znaczącym kształt jeszcze świeżej zasy. Śnieg. Rozmigotany, wciąż miękki i sypki, uginający się z cichym skrzypnięciem przy każdym kroku.

Czerń. Niezliczone sylwetki pni, grubych i cienkich, młodych i starych, szorstkich i gładkich... Ciemne kolumny sterczące nieruchomo wśród jasnego morza.

Ślady. Drobne plamki wiodące do większej kałuży wśród rozgrzebanego, zdeptanego śniegu. Intensywny zapach żelaza. Świeża krew.

Więcej krwi w wydartych w bieli szarych koleinach.

Szeroki ślad meandrujący łagodnie wśród drzew, ciągnący się w głąb lasu.

Głód.

Wzdrygnął się, wyrывая się ze snu.

Za uchylonego okna dobiegały go dźwięki ulicy. Daleki szum samochodów, dużo bliższy stukot kopyt o chodnik, furkot ptasich skrzydeł, wysoki głos klaczy i cienkie krzyki żrebiąt. Resztki snu i monotonne odgłosy tła zacierały poszczególne słowa i sylaby w strumień niezrozumiałych dźwięków.

Wierzące w nozdrza chłodne powietrze uświadomiło mu jednak, że słyszał nie caballolidański, a sepleniący polyński. Że jest tysiące mil od ojczyzny, w Polyn, w Greyburgu, w obcym mieszkaniu i cudzym łóżku. Lekki dreszcz niepokoju przemknął mu wzdłuż grzbietu.

Walcząc ze słabością i odrętwieniem, wygrzebał się spod koca i rozkleił powieki. Szare, niewyraźne plamy tańczyły i kołysały się przed oczami, jakby wpadł w ciężką od deszczu chmurę. Uniósł się z okrytego szeleszczącą folią posłania, po czym stęknął cicho, gdy czaszka zapulsowała tępym bólem. Nagle ktoś obok zamruczał niewyraźnie i z leżącego na podłodze materaca podźwignął się jasnozielony jednorożec.

– Która godzina? – wymamrotał, usiłując skupić rozbiegany wzrok na pegazie.

– Pojęcia nie mam. Dziewiąta, dziesiąta?

Jackdaw wymacał na wpół wysuniętą szufladę szafki nocnej i wyciągnął z niej mały budzik.

– Jeeest... za dziesięć dwunasta. – Czasomierz stuknął o dno szuflady. – Chce ci się wstawać?

Pegaz wzruszył skrzydłami.

– Wezmę szybki prysznic i zwinę się do siebie – odparł.

– Mmm-hm. Zostaniesz na śniadanie?

Szary ogier zawahał się.

– Raven będzie nalegać – dodał jednorożec, wygrzebując się spod własnego koca.

– To może wyjdę, zanim...

– Słyszę was – rozległo się półprzytomne mamrotanie klaczy.

Zielony ogier ziewnął głośno.

– To ja może... pójde i, no, coś zrobię do żarcia. – Po tych słowach wstał i wymknął się na korytarz.

Klacz powoli przetoczyła się z boku na bok i spojrzała na pegaza spod jasnej grzywy.

– Jak się czujesz? – spytała półgłosem. – Błądźnik działa, żadnych mdłości, problemów ze wzrokiem, zawrotów głowy...?

– Czuję się, jakby coś zjadło mnie wieczorem i wyrzygało nad ranem – odparł po chwili namysłu. – Ale wszystko działa. Ty?

– Uhu. Ja... Chyba tak samo, wiesz? Zasnęłam, jak tylko się położyłam, ale... mam wrażenie, że równie dobrze mogłam wcale nie spać.

– Raven, nie zaczynaj...

– Nie zaczynam znowu. Mówię tylko, jak się czuję.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, jakby szukając właściwych słów. W końcu pegaz pokręcił głową, zsunął się z łóżka i wyszedł pośpiesznie z pokoju, starannie unikając wzroku przyjaciółki.

Po lekkim śniadaniu, składającym się z ryżowego kleiku i naparu z rumianku, usiedli wokół niskiego stolika w pokoju gościnnym. Char usiłował odgarnąć za ucho wciąż wilgotną grzywę, Jackdaw bawił się nożem motylkowym, a Raven dopijała powoli zawartość swojego kubka, siorbiąc cichutko.

– Więc... – zaczął zielony ogier, po czym zreflektował się pośpiesznie – tak, wiem, nie zaczyna się zdania od więc, nie jesteśmy w klasie od polyńskiego, nie wierć mnie tak wzrokiem, bo sobie kubek rozwalisz. Więc co się stało wczoraj? Char wyrznął się w błocku na stromiznie?

Pegaz prychnął cicho.

– Miał hacele. – Raven odstawiła kubek na blat. – Szło nam w miarę dobrze, nie znaleźliśmy żadnych śladów... przynajmniej ja nie znalazłam kręgów ani amuletów, nie wiem, jak Char...

– *Nada*. – Pokręcił głową.

– Tak więc jeśli krąży tam jakiś duch, to albo pojawił się samoistnie, albo przywołał go nekromanta z minimum profesjonalizmu – dokończyła

Jackdaw podrapał się po potylicy, nie przestając obracać noża zręcznymi błyskami magii.

– Tylko czemu ktoś oblatany w mrocznych sztukach miałby bawić się w medium bez widowni? – spytał. – Chyba prędzej by poszedł na cmentarz wojskowy i nawskrzeszał sobie krasnoarmiejców jako zombie-sługi... czy co tam nekromanci nie robią.

– Po tylu latach znalazłby raczej szkielety. I stary cmentarz gryfów byłby bliżej niż wojskowy... ciała też byłyby mniej zdekompletowane... – Wzdrygnęła się nagle. – Erm, w każdym razie nie znaleźliśmy ducha, za to Chara naskoczyło coś potencjalnie gorszego.

Spojrzała porozumiewawczo na szarego pegaza.

– Nie widziałem za dużo – mruknął ogier. – Coś kryło się w ruinach wieży. Skoczyło na mnie, gdy podszedłem do wyłomu w ścianie, przewróciło na ziemię, a zaraz potem wszystko zgasło.

Raven uniosła brwi.

– Nie uderzyłeś się w głowę przy upadku? – zdziwiła się.

– Mmm... Nie, chyba nie. Padłem, zobaczyłem parę oczu i... – Zakrył pysk lotkami.

– Tyle ode mnie, A ty? Zobaczyłaś coś więcej?

– Coś... kotokształtnego, mniej więcej moich rozmiarów. Białe lub bardzo jasne futro. Uciekło od razu w drugą stronę, w dół rzeki... nawet na mnie nie spojrzało.

– Kotokształtnego? – zapytał Charcoal, nadstawiając czujnie uszy.

Skinęła głową.

– To nie mógł być ryś-albinos, bo nie zgadza się pokrój... i region, rysie trzymają się tylko w lasach na wschodzie lub górach na południowym wschodzie. To nie był leszy, bo leszy jest większy i bardziej podobny do kuca, do tego trzyma się lasów. Sfinks miałby skrzydła i zadałby zagadkę, nie zwałił z nóg i uciekł. Strzygonie i niektóre odmiany wampirów mają masywną sylwetkę, a to było dość smukłe. Likantropy przypominają morfologią i behawiorem zwykłe wilki... Zostaje albo rzadsze monstrum, albo egzotyczny zwierzak jakiejś skończonej pierdoły.

Tupnęła o siedzenie.

– Nie mam pojęcia, co to może być, a będziemy musieli to znaleźć i unieszkodliwić. Tyle dobrego, że najwyraźniej boi się kuców – dokończyła z nieskrywaną frustracją.

W pokoju zapanowała cisza.

– Co dalej? – odezwał się w końcu Charcoal.

– Biurokracja – odparła niechętnie klacz. – Raport o niepowodzeniu. Użeranie się z policją i starostwem. Zgłoszenie większej akcji, bo prawdopodobnie będą od nas wymagali przeszukania terenu wzdłuż rzeki. Papiery dla szpitala, żeby mieć na miejscu ratowników.

– Znaczy, jeśli pošlą nas na poszukiwania, będziemy musieli ściągnąć kogoś z sąsiednich powiatów – wtrącił Jackdaw. – Więc dolicz jeszcze taką zabawę.

Fioletowy jednorożec westchnął ciężko i zwiesił głowę z rezygnacją.

– Mogłam – zaczęła – mogłam to dogonić i zabić, ale...

– Równie dobrze mogłaś sama zginąć – przerwał jej miękko Charcoal. – Zamiast tego zostałam przy mnie. Procedury zachowane. Wiemy chociaż, jak to wygląda. Poszukasz w książkach, co to mogło być. Damy radę.

Spojrzała na niego i przytaknęła bez przekonania.

Jackdaw przysiadł obok wejścia do kamienicy i otworzył małe, płaskie puzderko. Wyciągnął jednego papierosa, pstryknął kilka razy zapalniczką, aż zabłyśnął mały płomyk. Zapalił, zaciągnął się niespiesznie i po chwili wypuścił z płuc gęsty kłąb błękitnawego dymu.

– Chcesz – zagadnął stojącego obok pegaza – nie wiem, pogadać o czymś?

Charcoal wzruszył skrzydłami.

– Myślałem, że ty chcesz – odpowiedział, odwracając pysk.

– Ja? A ja zapalić wyszedłem. Raven urwałaby mi łeb za palenie w mieszkaniu – tu jednorożec zniżył głos – a stary skurwiol pewnie rozkopałby mój grób, wskrzesił trupa, wyciągnął kolejny miesiąc czynszu i znowu zamordował.

– Nekromancja jest zabroniona od tysiąca lat z okładem.

– A myślisz, że będzie się na to oglądał? – Jackdaw wywrócił oczami. – Dam sobie kopyto na żywca uciąć, że trzyma gdzieś kopię Nekro-hippos-pletto czy innego czarnomagicznego gówna specjalnie na wypadek, gdyby ktoś nasyfił w mieszkaniu lub umarł przed zapłatą.

Chwila milczenia.

– Przepraszam – mruknął w końcu szary ogier – i... dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Jednorożec palił przez chwilę w ciszy. – A za co przepraszasz?

– Gdybyś... wtedy, wczoraj... Gdybyś się nie wtrącił...

Umilkł nagle i zgarbił się jeszcze mocniej.

– Prawie ją uderzyłem – szepnął. – Prawie... prawie zrobiłem jej krzywdę.

– Nooo... i?

Zerknął na przyjaciela. W wielkich błękitnych oczach ogiera lśniła radosna, żrebięca wręcz niewinność.

– O mały włos nie podniosłem kopyta na twoją rodzinę...

Przerwał mu krótki, cienki śmiech, jak okrzyk kawki.

– Wiesz, ile w tej rodzinie było ganiań z wrzaskiem do matki, bo jedno biło drugie?

– Otarł oko ze wzruszeniem. – To jedna rzecz. Druga rzecz, podniosłeś skrzydło. Skrzydeł nie masz podkutych, więc to spora różnica. Trzecia rzecz...

Szeroki uśmiech Jackdawa skurczył się nieco.

– Między „prawie” i „zrobić” jest spora różnica. Dam ci znać, kiedy ją przekroczysz. A do tego czasu...

Zaciągnął się głęboko i zapatrzył w unoszący się ku szaremu niebu dym.

– Nie przejmuj się tym, co było, nie przejmuj się tym, co mogło być. Skup się na tu i teraz, no, może jeszcze małym kawałku tego, co będzie. Inaczej zwariujesz z nerwów.

Szary pegaz zamyślił się na chwilę, po czym skinął powoli głową.

– Masz rację – mruknął.

– Wiesz, jest też inna opcja... – Jednorożec znów wyszczerzył zęby. – Tylko trochę droższa i dużo mniej legalna...

Charcoal wywrócił oczami.

– Dziękuję, nie skorzystam. Widzimy się niedługo, *hasta pronto*.

– Na razie! – Zielony ogier pomachał mu energicznie.

Zaszeleściły energicznie przewracane strony, zadudniła zamykana z impetem okładka. Kolejna książka odsunęła się na bok, ustępując segregatorowi, pełnemu luźnych kartek – zapisanych na maszynie lub starym komputerze, pogryzmołonych odręcznymi notatkami, pokreślonych przez późniejsze poprawki i uzupełnienia, czasem wzbogaconych mniej lub bardziej szczegółowym szkicem potwora lub jego części.

Raven westchnęła i nachyliła się nad, gromadzonym przez kolejne pokolenia łowców, kompendium, ostrożnie przekładając kolejne kartki.

– Masz coś? – usłyszała głos brata.

– Nic, czego wcześniej nie odrzuciłam – odparła, nie odrywając wzroku od notatek. – Przejrzałam już wszystkie dostępne książki, w bibliotece miejskiej nie znajdę niczego więcej, a nawet jeśli pojadę do Thornu czy nawet Danziga... zanim znajdę coś w księgozbiorach akademickich, będzie dawno po ptakach.

Zatrzymała się na moment przy bardziej obiecującym wpisie, po czym pokręciła głową i przerzuciła stronę.

– Przejrzę potem jeszcze raz wszystko od początku – ciągnęła dalej – tak dla pewności, ale...

Jackdaw przysiadł na kanapie obok siostry.

– Ile razy już przeglądałaś?

Klacz zawahała się.

– Teraz jadę drugi raz – mruknęła w końcu. – Zrobię jeszcze trzeci, żeby mieć absolutną pewność, że niczego nie pominęłam, że... że nic mi nie umyka...

– Hej. Hej. Kruczek. – Zielony jednorożec klepnął ją między łopatkami. – A wiesz, która jest godzina?

– Mmm... Czwarta?

– Prawie szósta. Robiłaś jakąś przerwę czy... – Urwał i potrząsnął głową. – A, no jasne, że nie robiłaś. Jakim cudem ty wyrabiasz z nosem w książkach przez tyle czasu, ja już bym dawno odpadł...

– Jedna z niewielu rzeczy, jakie wyniosłam z uczelni – odpowiedziała z goryczą. – Ślęczenie nad tekstem i nauka do białego świtu. Chcę być po prostu pewna, tak? Pewna, że tym razem niczego nie spieprzyłam...

– Ajeja, Kruczek, nic nie spieprzyłaś, jo? Ani teraz, ani...

– Wczoraj zdecydowanie spieprzyłam – przerwała mu, uderzając kopytem w nieco koślawy rysunek strzygi. – Byłam głupia i narobiłam wam obu problemów.

Westchnął ciężko, unosząc głowę ku sufitowi.

– Jak sama mi kiedyś powiedziałaś, nie ma nic złego w chwili słabości – wymamrotał.
– Zdarza się, jo? Byłaś zmęczona, roztrzęsiona, po Nowiu...

– ...i zabrakło mi minimum samokontroli z rozsądkiem – znów weszła bratu w słowo.

– To nie pierwszy raz, Jackie. Na tym etapie, po tylu latach...

Potrząsnęła energicznie głową.

– Powinnam się nauczyć kontrolować własne emocje – oświadczyła.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Spałeś dzisiaj dobrze? – spytała w końcu klacz, odkładając notatki i ponownie sięgając po opasłe tomiszcze.

– Bez snów, więc... – Wzruszył łopatkami. – Nie było najgorzej.

Przytaknęła bez entuzjazmu.

– To... zrobić ci coś do jedzenia? – zapytał Jackdaw po kolejnej, długiej pauzie. – Pewnie nie jadłaś nic od tego... no, późnego, ale w sumie dalej śniadania...

W zamyśleniu potarła lewy policzek.

– Zrób mi może herbatę. Taką mocniejszą... i więcej cukru, dobrze? Ze trzy łyżeczki chyba starczą. Kubek stoi tu, tylko wypłucz go z rumianku...

– Jasne. I serio zrób sobie przerwę, bo mózg ci się przegrzeje.

Machinalnie pokiwała głową, skupiając się bardziej na przeglądanej książce.

Nadszedł piątkowy wieczór, a z nim przejmujący chłód. W sobotę miasto ogarnęły przenikliwe mrozy, a szron rysował kwiaty na szybach. Potem zaś zjawił się niedzielny ranek i przyniósł ze sobą cienką warstwę sypkiego, śnieżnego puchu.

Zima cisnęła wszystkie swoje siły do ostatniego, rozpaczliwego szturmu, wypierając słabe przedwiośnie i zagrządzając drogę, zbliżającej się nieubłagane, wiosnie.

Potężna nawa kolegiaty, smukłe kształty Gorejących Serc, skromne mury Przesilenia Letniego, betonowy gmach Wywyższenia Trzeciej Księżniczki – głuche bicie dzwonów wybrzmiewało z każdej świątyni, cichnąc tylko wobec śpiewu zgromadzonych wiernych.

Każda z trzech gałęzi Kościoła Concordii celebrowała czterdzieści dni między zimą a wiosną w inny sposób, upamiętniając różne wydarzenia sprzed tysiącleci. Kult lunarny wspominał upadek i wygnanie Pani Nocy. Wyznawcy słońca rozważali rządy samotnej Księżniczki Słońca. Wierni Harmonii wspominali zgłębienie sekretów przyjaźni przez przyszłe Powierniczki Harmonii. Trwał czas żałoby, czas pokuty i czas namysłu.

Szary pegaz powoli kroczył wzdłuż zachłapanej pośniegową breją Książęcej, słuchając odległego echa pieśni ze świątyni na końcu ulicy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podejść bliżej, może nawet wejść do kruchty, posłuchać pozbawionego akompaniamentu organów śpiewu... Ostatecznie jednak zrezygnował. Jego religijność nie wykraczała ponad rodzinne sentymenty, nie chciał też przeszkadzać wierzącym w celebracjach. Miał zresztą ważniejsze sprawy do załatwienia.

Zatrzymał się przed wejściem do antykwariatu i zaklął cicho. Drzwi przegrodzone były kratą z gwintowanych prętów, a do witryny przyklejono od środka kartkę papieru z napisem: „Inwentaryzacja – Nieczynne – Przepraszamy”.

Słowa zapisano w języku equestriańskim i polyńskim. Pismo było staranne, niemal kaligraficzne.

Pokręcił głową i skierował się ku podwórzu.

Wspiął się po schodach kamienicy i zatrzymał pod grubymi drzwiami oznaczonymi numerem 1. Odczekawszy chwilę, wziął głęboki wdech i, z pewną niechęcią, zapukał.

Cisza.

Zapukał ponownie, tym razem głośniej.

Wciąż bez odpowiedzi.

Tupnął gniewnie o podłogę, odwrócił się i powoli zszedł po stopniach, zatrzymując krótko w połowie piętra, jakby spodziewał się, że drzwi nagle staną otworem. Gdy tak się nie stało, ruszył dalej w dół schodów, do przedsionka i wąskich, niepozornych drzwi naprzeciwko wejścia.

Tym razem nie tyle zapukał, co załomotał w drewno, nie kryjąc pośpiechu zmieszanego z irytacją. Po kilku sekundach znów uniósł kopyto... po czym usłyszał cichy szmer, jakby po drugiej stronie przesuwano coś ciężkiego. Zamek zachrobotał i kliknął, klamka sama opadła. Drzwi otworzyły się, wpuszczając go na pogrążone w półcieniu zaplecze antykwariatu.

Przymknął oczy, wyszeptał bezgłośnie kilka słów modlitwy do Nocnej Pani i ostrożnie przekroczył próg. Stare deski podłogi zaskrzypiały mu pod nogami.

Przejście zamknęło się samo. Trzasnęły zamykane mechanizmy, sterta grubych encyklopedii znów wsparła się o framugę. Pegaz poczuł nieprzyjemne mrowienie wzdłuż grzbietu.

Minął regały i pudła pełne książek – nowych i starych, kolorowych i pożółkłych, w twardych, złożonych okładkach i o zdartych grzbietach – oraz mały warsztat intrologatorski, po czym pchnął kolejne drzwi – pozbawione zamka, chyboczące się na starych, wykrzywionych zawiasach.

Znalazł się we właściwym pomieszczeniu – małym labiryncie wysokich półek, przegrodzonym niską ladą z zaskakująco nowoczesną kasą fiskalną. Powoli manewrował między wszechobecnymi stosami słowników, encyklopedii, podręczników, reportaży, albumów, dramatów, zbiorów poezji oraz powieści wszelkich gatunków i rozmiarów, rozglądając się przy tym czujnie, jakby zza pustej szafy miało znienacka wyskoczyć krwiożercze monstrum...

– Uwaga na podłogę!

Okrzyk wybrzmiał o ułamek sekundy za późno i kolumna książek runęła na podłogę z cichym łoskotem. Cienkie tomiki w wygniecionych okładkach rozsypały się naokoło jak jesienne liście. Pegaz cofnął kopyto, w ostatniej chwili powstrzymując się od rzucenia caballolidańską wiązką szpetnych przekleństw.

Ktoś mruknął z niezadowoleniem. Rozrzucone woluminy zabłysły wątlą, bursztynową aurą, uniosły się i na powrót uformowały kolumnę, która poszybowała łagodnie za pobliski regał.

– Nie wyglądają na cenne – mruknął pegaz usprawiedliwiającym tonem, podążając za lewitującym inwentarzem.

– Książkom – odpowiedział mu niski, ochrypły głos, mówiący z wyraźnym trottinghamskim akcentem – należy się szacunek niezależnie od wartości materialnej. Ponadto...

Coś stuknęło o tylną ściankę półki, zaszeleścił materiał i zza szafy wyłoniła się znajoma sylwetka wysokiego, żylastego jednoroźca o sierści barwy starej porcelany, odzianego w białą, niedbale rozpiętą koszulę i wymiętą kamizelkę. I z tyleż dyskretnym, co szyderczym półśmieszkim, błędzącym gdzieś w kącie pyska.

Antykwareusz Silver Rune we własnej osobie.

– To, co dla ciebie jest bezwartościowe – kontynuował spokojnie, równocześnie świdrując pegaza spojrzeniem znad ciemnych szkieł – dla moich klientów warto jest pewną sumę. A, jak mawiali starożytni, *pecunia non olet*. Pieniądz nie śmierdzi. Łowcy powinni znać tę maksymę aż za dobrze.

Charcoal prychnął cicho.

– Ale, ale... – Jednorożec wrócił za półkę i zabrał się za dalsze ustawianie książek według, sobie tylko znanego, porządku. – Co cię sprowadza w te skromne progi, może oprócz nieopanowanej żądzy nabycia lektury? I jakaż to inna sprawa może być na tyle pilna, żebyś usiłował wyważyć drzwi na moje zaplecze?

Pegaz zbliżył się niechętnie i przysiadł na podłodze kilka kroków od antykwareusza.

– Duże, białe, kotowate – powiedział powoli. – Szczupłe, rozmiarów przeciętnego kuca. Raven twierdzi, że nie zna tego gatunku. Mówi ci to coś?

Antykwareusz spokojnie wsunął ostatni tom *Historii Kryształowego Imperium* na koniec półki i uniósł kolejny stosik książek.

– Za mało, łowco – odparł sucho, nie patrząc nawet na Charcoala. – Ufam wiedzy i doświadczeniu panny Feather, ale z pustego i księżniczka nie należy.

– Akcja na Górze Zamkowej, zgłosili nam ducha.

– Hmm... – Jednorożec odwrócił się, wodząc wzrokiem wzdłuż częściowo zapelnionych regałów. – Ciepłej, ale nie gorąco.

Szary ogier uniósł głowę i przymknął oczy, czując nieprzyjemny skurecz w żołądku.

– Cel ukrywał się w ruinach Klimka – mruknął z głęboką niechęcią. – Wyskoczył na mnie, przewrócił i... nagle straciłem przytomność. Bez uderzenia w głowę, po prostu...

– Co dalej? – przerwał mu nagle antykwareusz, nie przestając układać kolejnych książek. Jedno z jego uszu zastrzygło czujnie.

– Dalej...? Raven twierdzi, że natychmiast uciekło. – odpowiedział po chwili. – Żadnej walki, niczego. Po prostu uciekło.

Następny wolumin wsunął się na miejsce – wolniej, jakby z namysłem. Antykwareusz odłożył jeszcze jeden tom z kurczącej się sterty, przyjrzał uważnie całej swojej kolekcji, po czym ruszył żywym krokiem naokoło pomieszczenia, trącając po drodze grzbiety wybranych

książek. Kolejne tomy – grube i cienkie, małe i duże – wysuwały się z regałów, kołysząc łagodnie w słabej aurze magii, po czym chowały z powrotem lub podążały za jednorożcem w barwnym korowodzie. Uwagę pegaza mimowolnie przyciągnął jednak inny widok – sylwetka samego Rune’a, z każdą wyciągniętą książką coraz bardziej rozedrgana i rozmyta, podobna do chyboczącego cienia, rzucanego w blasku świecy. Jej kształt zmieniał się, skręcał i falował, coraz trudniej było widzieć iluzję siwiejącego jednorożca z długim warkoczem...

...coraz łatwiej było dostrzec ciemne futro i gęstą, szarą grzywę, opadającą na lekko przygarbiony grzbiet. Trójkątny pysk i długie, ruchliwe uszy. Wielkie łapy, stąpające bezgłośnie na grubych opuszkach, podzielone na pięć palców – cztery duże i kciuk zredukowany do zakrzywionego, sterczącego pod nadgarstkiem, pazura. Kołyszący się lekko ogon, zwieńczony krótkim pędzlem. Duże, lekko skośne oczy o pionowych źrenicach, pomarańczowe tęczówki sięgające od powieki do powieki, bez śladu białek.

Coraz lepiej przenikał wzrokiem przez misterną sieć kłamstw i bynajmniej nie podobało mu się to, co widział.

Wybrawszy pięć różnych książek, od małej broszurki po grube, oprawione w szkarłatną tkaninę opracowanie, Rune rozłożył je kolejno przed pegazem, po czym kontynuował poszukiwania wśród posortowanych stosów, od czasu do czasu mruczając coś niewyraźnie.

Charcoal przesunął wzrokiem po okładkach. Tytuły dwóch książek zapisane były ozdobnym, staromodnym fontem w języku polynskim, zaś na wypłowiałych okładkach nie widniał żaden znak czy rysunek pozwalający domyślić się ich treści. Jedną zatytułowano w romantique – po krótkiej chwili mentalnej gimnastyki i porównywania kolejnych słów z podobnie brzmiącymi zwrotami caballolidańskimi doszedł do wniosku, że było to opracowanie historyczne, poświęcone pewnemu zamkowi – natomiast broszurę i grube opracowanie nazwano zarówno po equestriańsku i polynsku: *Krótką historią, legendy i ciekawostki zamku w Gollub* oraz *Wielką Historią Polyn. Tom 4, wiek XVI i XVII*. Tytułom towarzyszyły niewielkie obrazki – odpowiednio rycina tytułowego zamku i wytłoczona w materiale sylwetka wojownika z wzniesioną szablą.

Po chwili do zbioru dołączyły dwa ciężkie tomy, również zatytułowane w języku polynskim. Rune usiadł naprzeciwko pegaza i zaczął powoli wertować kolejne książki, mruczając niezrozumiale.

– Co ma wspólnego... – zaczął szary ogier. Antykwariusz przerwał mu szybkim gestem, nie odrywając wzroku od pożółkłych kart.

Minęła dłuższa chwila milczenia, przerywana jedynie okazjonalnym mamrotaniem jednorożca. Charcoal zaczął przytupywać w miejscu, z początku cicho, potem coraz głośniejszym i energiczniejszym.

W końcu cztery książki poszybowały na bok, a przed zniecierpliwionym pegazem wyładowały pozostałe trzy – opracowanie w romantique, jedno z niezidentyfikowanych tomiszcz oraz broszura. Rune, niemal pieszczotliwie, pogładził otwarte strony.

– Odwieczny problem łowców – zaczął gawędziarskim tonem, przypatrując się rozmówcy znad przyciemnionych szkieł – to rozróżnić i nazwać różne typy potworów. W pewien przewrotny sposób przypominacie dawnych przyrodników, badających gatunki obcej

fauny i flory, usiłujących zmierzyć je, zbadać, opisać, sklasyfikować, rozmieścić wszystko, co żywe w odpowiednich gałęziach taksonomicznych drzew...

Pegaz prychnął przez nozdrza.

– Trochę więcej cierpliwości, łowco. – Antykwariusz niechętnie zmrużył oczy. – W każdej nauce zaczyna się od pewnych podstaw, zanim przejdzie się do materii bardziej... złożonej. Tak więc, jak już wspomniałem... Potwory, choćby dla zwykłej wygody, dzieli się z reguły na trzy kategorie. Pierwszą stanowi magiczna fauna odpowiednich krain. Drugą są istoty i anomalie pochodzenia czysto magicznego...

W tym momencie uśmiechnął się lekko.

– ...w tym duchy czy zjawy. Dość powszechne są legendy o szlachetnych klaczach, księżnych, baronessach, hrabinach i innych, które miały pozostać związane z miejscem tragicznego zgonu... lub, w mniej drastycznych historiach, ukochanym zamkiem, nawiedzając je w pewne wyjątkowe noce.

Stuknął krawędzią kopyta w czarno-białą reprodukcję z opracowania w romantique.

– Ta oto dama chociażby. Swoją drogą ładny portret urodziwej, jak mniemam, klaczy. Co prawda, moja znajomość jej ojczystej mowy lekko... podupadła przez zaniedbanie, ale... – Nachylił się nad książką i skinął głową. – Zgodnie z tą pracą, została zepchnięta z murów przez niewiernego męża, a jej miejsce zajęła inna... nie na długo zresztą, jako że domniemana zjawa ofiary miała skłonić pewnego służącego, naocznego świadka owej tragedii, do złożenia kluczowych dla, nazwijmy to, śledztwa, zeznań, co doprowadziło do skazania i stracenia mordercy oraz wygnania jego kochanki. Autor przytacza konkretne źródła historyczne... mhm, tak... oraz relacjonuje twierdzenia okolicznych mieszkańców, jakoby nawet w dzisiejszych czasach można było ujrzeć w chłodne noce ducha klaczy w białej sukni.

Zamknął książkę i odsunął ją na bok, następnie sięgnął po nieznane tomiszcze oraz broszurę.

– Białe damy nie są jednak fenomenem obserwowanym wyłącznie na Turkusowym Wybrzeżu – ciągnął dalej, kartkując powoli tom. – Polyn, ba, nawet ziemie bliskie Kulmu, doczekały się własnego przykładu. Siostra jednego z władców... ta oto dama na rycinie, pozwolisz, że dla uproszczenia nie będę przytaczał imion i nazw dynastii, i tak nic ci zapewne nie powiedzą... była niegdyś panią na zamku w Gollub. Piękne miejsce, poproś kiedyś pannę Feather, żeby z tobą pojechała...

Podniósł broszurę.

– Wracając jednak do tematu białych dam. Istnieje związana z owym zamkiem legenda, według której duch starej pani zamieszkał w sekretnej komnacie za swoim portretem. Opuszcza ją ostatniego dnia każdego roku, w mroźną grudniową noc, by spacerować po polach wokół swojej siedziby, jako piękna klacz w białej sukni.

Odłożył wszystkie książki i odkaszlnął cicho.

– Tyle folklor – oświadczył. Jego głos przybrał stanowczy, niemal ostry ton. – W praktyce wasz gatunek ma przeważnie dość upośledzone widzenie nocne, zwłaszcza na duże odległości. Nic dziwnego, że tak łatwo jest wam pomylić ducha, zwanego białą damą, z czymś zdecydowanie bardziej... cielesnym.

Charcoal odetchnął głęboko.

– Dlatego wezwali nas do ducha – mruknął. – Jak to nazwać?

– Ją – poprawił go antykwariusz. – To samice, należące do naszego gatunku. Natomiast odnośnie nazewnictwa... Być może wywoła to pewne zamieszanie, ale...

Uśmiechnął się ponuro.

– Sądzę, że biała dama jest względnie dobrym określeniem – dokończył.

Chwila ciszy.

– Los jest nader przewrotną siłą – podjął w końcu Rune – i tym razem okazał wam niełaskę. Trafiliście na... nazwijmy to, świeży nabytek. Doświadczona dama z diaspory albo trzymałaby się od was z daleka, albo powaliła was ukradkiem, tak, by uniknąć wykrycia.

– Dobra. – Pegaz wywrócił oczami. – To co ten świeży nabytek mi zrobił?

– Pozbawił przytomności. Zgasił, jak same to określają. – Antykwariusz wstał i zebrał książki. – Białe damy to telepatki, łowco. Najlepsze z najlepszych, selekcja naturalna i sztuczna o to zadbały. Jeśli mogę wam coś w tej kwestii doradzić...

Odwrócił się i spojrzał na pegaza.

– Trzymajcie się z dala – powiedział szorstko. – Wiem, że macie robić większą akcję, panna Feather uprzedzała mnie już o swoich planach na przyszły tydzień. Ale jeśli znowu ją zobaczycie, nie zbliżajcie się. Są mniej bolesne sposoby na śmierć... dużo, dużo mniej bolesne niż to, co białe damy mogą zrobić z czymś umysłem.

– Mamy siedzieć beczynnienie?

– Po prostu zachowajcie odpowiedni dystans. W międzyczasie ja wezmę sprawy w swoje łapy...

– Co masz na myśli?

Antykwariusz odłożył książki i odwrócił się, spoglądając łowcy prosto w oczy.

– Poinformuję ją, że nie jest tu mile widziana – odparł lakonicznie. – Tak jak i ty, jeśli nie potrzebujesz niczego więcej.

Pegaz milczał przez chwilę, po czym skinął głową.

– Trzymam cię za słowo – powiedział głucho.

Drzwi na zaplecze antykwariatu zamknęły się za szarym ogierem. Mechanizm zamka stawiał opór, ale wszystkie zapadki opadły w końcu na swoje miejsce. Stos encyklopedii zaszurał o podłogę i wsparł się o podrapaną framugę.

Rune odczekał jeszcze dłuższą chwilę, po czym spokojnym krokiem podszedł do lady i przyklęknął obok ściany.

Odrobina nacisku w odpowiednim miejscu sprawiła, że obluźwana deska uniosła się, odsłaniając skrytkę pod podłogą i leżące w niej małe, gładkie pudełko z ciemnego drewna, bez widocznych zawiasów czy dziurki na klucz. Ścianek nie zdobiły żadne symbole ani znaki, w wieczku nie osadzono choćby odłamka magicznego kryształu. Antykwariusz przymknął oczy, rozplątał część iluzji i dotknął pojemnika obnażoną łapą.

Cichy, niemal niesłyszalny dźwięk, jakby pyknięcie. Na bocznych ściankach zarysowała się cienka jak włos szczelina, w którą wsunęły się ostre koniuszki pazurów. Wieczko powoli ustąpiło.

Z wnętrza uniósł się mały kawałeczek spękanego kryształu, opleciony pasmem poczerniałego metalu. Całość zawieszono na cienkim rzemyku, niczym dziwaczny amulet.

Rune skinął głową i schował pudełko do skrytki.

– Oby wystarczyło – szepnął.
